ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Maja. № 18. Roku 1855.

SENEGAMBIA.

Przygody pana Verneuil w podróżach nad Senegalem i w środkowéj Afryce.

(Dokończenie. Ob. Nr. 8. 9. 10. 11. 16. 17. Rozmaitości.)

VIII.

Jazda paropływem z Dogany do Galamu. Dzikie nomady. Posiadłości francuskie w Baquel. Katarakty na Senegalu. Mungo Parka szkielet. Powrót do Saint-Louis.

Miałem już wracać do Saint-Louis, gdy obłok dymiasty z dali zapowiedział mi zbliżenie paropływu dążącego w górę do Galamu; chciałem więc ze sposobności korzystać. Murzyni po brzegach zdumieni, nie mogli przyjść do siebie, gdy statek zatrzymał się, ażeby mię zabrać, dopiéro jak szaleni skakali, gdy zasapany ruszał miotając kłęby dymu kominem. Żaden z nich, żeby mu płacić, byłby się nie poważył stopą na pokład, ruchy okrętu przypisywali złym duchom.

Po dziesięciu godzinach drogi za Doganą zaczynają brzegi być puste, w dali widać gęste lasy. Kapitan prawił cuda o tém, czego się nadoświadczał w rok rocznych swoich tędy podróżach, gdyśmy niespodzianie dostrzegli hordy dzikich czatujących na brzegu; puścili na nas las strzał, gdy paropływ podpłynął, szczęściem nie doniosły dla odległości zbytniéj.

Poźniéj podjechaliśmy w jedno miejsce, gdzie skała wyskakiwała, popod nią musiał okręt zawracać. Tu oczekiwała nas druga tłuszcza dzikich na górze, w pogotowiu ciskać na statek bryły kamieni. Tylko cudem przemknęliśmy cieśninę i uszli szkody. Za to działem zburzyliśmy im całą wioskę, a i nasze kartacze dały im się we znaki, bo uciekali co mogli polami w lasy.

W innem zaś miejscu przydybaliśmy spokojny lud pasterski; weszliśmy z nimi w targi, i za tytoń i sól, rzeczy dla nich bardzo łakome namienialiśmy zapasów mléka wielbłądziego i bawolego.

Dojeżdżając do Galamu spotkaliśmy za osobliwość mnóstwo koni wodnych, jak się tarzały w błocie, i pełno krokodylów, które się wyparzały i spały na piasku, albo wywrócone grzbietem do wody niosły się za prądem.

Galam, inaczéj Baquel jest francuska stacya nad Senegalem o sto piędziesiąt mil niemal od uścia rzeki. Francuska z imienia; klimat tamtejszy Europejczykom wcale nie służy. Raz tylko do roku dojeżdża tu paropływ francuski, i luboć czas ile możności skraca, zawsze pobyt swój przypłaci kilka Francuzów życiem. Dla tego urzędnikami w Galamie są sami Mulaci krajowce, a wojsko składają murzyni zamieszkali tam z rodzinami.

Zajmującego też tu wcale nic niema, chyba wielkie jarmarki na niewolników. Zjeżdżają się na nie kupcy z Saint-Louis i starszyzna plemion murzyńskich. Rząd francuski zakupuje niewolników, i po czternastu leciech wysługi bądź wojskowéj bądź przy jakiém rękodzielnictwie puszcza ich na wolność. Targowica zresztą nie różniła by się od bydlęcéj, gdyby nie okrucieństwo bez granic; serce się kraje patrząc na barbarzyńskie obejście.

Paropływ zmuszony był zabawić kilka dni w Galamie. Postanowiłem na ten czas zrobić wycieczkę do źródeł Senegalu. Zebrało się nas kilku przyjaciół, a stary jeden doświadczony murzyn — zwał się Moktard, najął się nas przeprowadzić.

Za Galamem rozlega się Senegal po płaszczyznie okiem nieprzejźrzanéj, i cały dzień drogi jedzie się tém stawiszczem ogromném pomiędzy szuwary, trzciny i zarośle, potem się widok nagle zmienia, zaczynają ponad rzekę wznosić się wysokie góry, i przybywa się pod kaskady, których na téj rzece jest kilka. Dojechawszy do któréj musieliśmy bat nasz wywlekać na brzeg, i dźwigać na plecach w górę, gdzie rzeka spławniejszém szła korytem. Po kilkakrotnych tego rodzaju pracach, przybyliśmy wreszcie do katarakty tak zwanéj Felow, i popamiętamy ją, bo się nam dał transport batu we znaki. Zamiast co on nas miał nosić, myśmy jego musieli dźwigać przez wielką górę, a co gorsza że w wielu miejscach urwiska były niezmiernie spadziste, więc splątaliśmy powrozy z pręcia i powoju i tak windowali bat za sobą.

I jeszcze ta kaskada nie była ostatnia; wyżéj za Felowem jest kaskada Gowin, którę Murzyni nazywają lwią kataraktą, prawda że jest osobliwsza i bardzo ciekawa. To wzgórze zkąd tu rzeka spada, ma zupełne podobieństwo do głowy dziwacznego potworu, który paszczę rozdziawił i pietnaście języków wywalił. Ptactwo drapieżne wisiało nad niém w powietrzu i krakało nad przepaściami, a w rospadlinach ścian u góry czaiły się i wyglądały pantery i bystrowidze. Gdym się bliżéj przypatrzył ścianom, dostrzegłem, że były ościelone wiązankami kości ludzkich poszczepianych powojem. Stary Moktard powiadał mi, że to są zwłoki Europejczyków, którzy tu poginęli. Po ścianie były znaki pisemne, bez wątpienia imiona gości w tych stronach; ilem mógł dośledzić zdawało mi się czytać imię sławnego Mungo Parka.

Podczas gdym się zajmawał odczytywaniem, przyniósł mi stary Moktard

gałązkę jakiejś mi nieznajoméj rośliny, zaprawioną w kolec.

Pisz, mówi mi, twoje imię na skale, ażebym mógł je twoim rodakom pokazywać, jeźli po tobie przyjdą te strony zwiedzać.

Pisząc na téj skale pienił się pod rysem kamień wapienny, i widać było jak się litery żłobiły, co niezawodnie ztąd że ta roślina musiała mieć w sobie kwas bardzo jadowity.

Trzy katarakty mieliśmy już w pamięci, gdy nadeszła czwarta, i właśnie gdy się składamy ku brzegu, porywa nas zawrotny prąd tak gwałtownie, że mimo wszelkiego natężenia ani podobieństwo było powstrzymać batu. Niebezpieczeństwo było groźne, powyskakiwaliśmy wszyscy jak byli, i zręczni Murzyni dopomogli nam dopaść brzegu, ale nasza barka z całym zasobem rozbiła się w wirze.

Przygoda taka nawidziła nas w dziewiczym lesie a przepełnionym zwierzem drapieżnym, rozpaczać przychodziło gdyby nie stary Moktard pocieszał i nie zapewniał wycieczki. Smutni puściliśmy się w wędrówkę, i pod noc stanęliśmy noclegiem pod wielkiém drzewem. Jeden z Murzynów rozniecił ogień tarciem suchego chróstu, zapalił gałąź z gumowéj rośliny i przy takiéj pochodni zaczął opatrywać drzewo, gdzieśmy się rozłożyli. Po chwili zawołał na głos:

Oddalcie się! w tém drzewie dusza!

Przerażony schwyciłem się, spojźrzałem nad siebie, i dopiéro postrzegłem, że w żgłobie Baobabu gdzieśmy siedzieli, stały zwłoki ciała jakiegoś, przy nich włócznia, flet, pas i talizman.

Nie ruszaj tego, zawołał Murzyn, ciało zmarłego i jego rzeczy są święte.

Przenieśliśmy się pod inne drzewo i rozpalili wielkie ognisko, ażeby odpłoszyć zwierza, którego ryki i wycia całą noc nie ustawały. Zapędzały się aż do ogniska niektóre, a olbrzymie płazy często jak strzała przesuwały się mimo.

Jeden z naszych kolegów uległ już zaraz nazajutrz trudom podróży. Wygrzebaliśmy biedakowi jamę w piaskach, Murzyni obwinęli ciało w jadowite rośliny, ażeby je ocalić przed robactwem.

Trzeciego dnia wędrówki już i mię siły opadły, myślałem że przyjdzie dzielić los mego nieszczęsnego kolegi, gdym zasłyszał dochodzący zdala ryk trzody wołów. Nigdy mi muzyka nie brzmiała miléj.

Doleźliśmy do pastwiska jakiegoś plemienia Maurytańskiego. Wypoczęliśmy kilka dni u nich, i siły wróciły. Pożegnaliśmy wody, a wielbłądami odwieźli się do Galamu, ztąd statkiem parowym powróciliśmy do Saint-Louis.

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dokończenie. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 16. 17. Rozmaitości).

Scena 4.

Manfred *(sam) (po chwili milczenia).*

Pozbyłżem się stróży...?
I w czémże ta powolność mnicha mi usłuży?...

(Wpada w ponure zadumanie. — Powoli rzewniejsze uczucie występuje na jego lica i surowość ich łagodzi).

(Opat wchodzi niepostrzeżony. — Zatrzymuje się naprzeciw Manfreda wpatrujac się w niego z pożałowaniem i w błagalnéj postawie).

Manfred *(spostrzega go nagle i w zwykłą ponurość zapada).*

Manfred.

Dla czegoż mię podchodzisz? Odkąd sam tu jestem,
Anioł krążył nade mną i skrzydeł szelestem
Chłodził żar myśli moich... Spłoszyłeś go pewnie.

Opat.

Wróci, jeźli cię skruchą serdeczną rozrzewnię,
I już cię nie opuści. — Cóż mię tu sprowadza?
Nie powinność sędziego, nie kapłańska władza.—
Przychodzę miłosierdziem zbawić twoją duszę,
Albo płakać nad tobą, jeźli cię nie skruszę.—

(chwila milczenia).

Nieprawość twoja szalę odwieczną przechyla:
Manfredzie, wejźrzyj w siebie. — Straszna śmierci chwila
Na nieprzepasną wieczność zamknie ci powieki.
Śmierci twojéj nie cofniesz. — Kres jéj niedaleki.

(Manfred uśmiecha się pogardliwie).

Przestrach innym zbawienny radość w tobie budzi:
Zatwardziały nieszczęściem i odrazą ludzi,
Gardzisz wszystkiém co żyje — gardzisz śmiercią samą.

(Manfred odwraca oczy).

Nic-że cię nie nawróci przed wieczności bramą?
Przecież modlitwa wzrusza niekiedy zbrodniarza
I miękczy serce jego: Wszakże się wydarza,
Że skamieniały upor z łona mu wytrąca
Starość łzą uzbrojona i przed nim klęcząca....

(klęka).

Manfredzie! stary kapłan do stóp się twych zbliża
Nie zasługami świętych, nie powagą krzyża
Niemoc nalegań moich wesprę i osłonię,
Lecz zaklinam cię synu, na te drżące dłonie
Które składam ku tobie — i na ten włos siwy,
Którym wrażał cześć w tobie ojciec twój sędziwy,
Którego przecież nigdy, acz cię kochał tyle,
Korząc się jak ty dzisiaj, nie zatarzał w pyle. —
Odepchnięty przez ciebie tylekroć już razy,
Dotłukłem starych kości o sterczące głazy,
Stérałem sił ostatek, szukając tu ciebie:
Nieczułość twoja synu, rychléj mię dogrzebie,
Niż podjęty przeze mnie trud z twojéj przyczyny.
Upamiętaj się synu, obrzydź twoje winy:
Odkupi je żal szczery i pokuta ścisła....

(Wpatruje się w Manfreda z żywą niespokojnością i głębokiém rozrzewnieniem).

Nie zwodzęż się? Łza skruchy w oczach twych zabłysła....

Manfred.

Możeby ściekła, gdybyś nie śledził jéj starcze.

Opat *(podnosząc się z godnością).*

Kilka chwil twego życia klątwą nie obarczę:
Wzgardziłeś starca prośbą, kapłana żałobą,
Nie mogłem cię wybawić i płaczę nad tobą.

Manfred *(widocznie wzruszony, chce przemówić — w tym daje się słyszyć krzyk wychodzący z głębi jaskini. — Manfred staje osłupiały zgrozą).*

Opat *(wyciągając rękę do jaskini).*

Niech te krzyki, co zgrozą serce twe przebodły,
Wymuszą, czego może nie zjednały modły —
Znasz ten głos?

Manfred *(z obłąkaniem).*

Milcz, milcz, mnichu — na zbawienie twoje! —
Znać nie chcę, wiedzieć nie chcę, dowiedzieć się (boję,
Kto go wydał?

Opat.

Kto wydał? — Manfredzie to (ona,
Ofiara twojéj zbrodni, zmysłów pozbawiona.
Syn jéj umarł, a z synem ostatnia pociecha....
Jéj to krzyki żałośne powtarzają echa,
A przecież choć ją twoja obłąkała wina,
Sprawcę wszystkich swych nieszczęść dotąd nie (przeklina. —

(Manfred rzuca się w stronę jaskini, ale powtórny krzyk przykuwa go w miejscu).

(Noema wybiega z jaskini, wydzierając się z wściekłością z rąk przytrzymującéj ją Klotyldy. — Rycerze i mnichy wychodzą z ukrycia i zapełniają środek sceny).

Noema.

Puszczaj mię! Puszczaj! Wzywam umarłych na (świadki.
Nie ma już tutaj żony — nie ma tutaj matki! —

(Bieży szalona w jedną i drugą stronę, jak gdyby szukała kogoś, aż nareszcie zatrzymuje się przed osłupiałym Manfredem).

Wróć mi męża, wróć dziécię, wróć mię saméj (sobie!
Mówią mi, żem szalona. — Przecież wiem, co ro- (bię,
Przecież ciebie poznałam. — Patrz — jak nizkom (spadła!
Czy wiesz, chcieli mię związać — alem się wy- (kradła. —
Ja chcę umrzeć z twéj ręki. — śpiesz się, nim od- (gadną —
Ręka twoja tak wprawna. — Zabija tak snadno —
Czemuż mię nie zabijasz?

Manfred *(wpatrując się w nią nieruchomy. — Po chwili z wybuchem rozpaczy).*

O dla czegoż piekło
Nędzny i ohydzony żywot mój przewlekło!
Czy w bezdennych otchłaniach mąk już ma tak (mało,
Że zemsty swe kobiécie słabéj przekazało? —
Gdzież katy? Gdzie oprawcy? Czemuż mię nie (biorą?

(rzuca się do nóg Opatowi).

Wszak dosyć się uniżam — wszak z całą pokorą
Prochy nóg twoich ścieram. — Czegoż trzeba (więcéj? —

(obraca się do rycerstwa).

Małoż i krwi mężowskiéj i krwi niemowlęcéj —
Małoż łez i złorzeczeń, że ramię niczyje
Skalanéj piersi mojéj mieczem nie przeszyje?
Dobijcież mię przez litość, albo z nienawiści:
Niech już raz z téj potwory ziemia się oczyści! —

Noema *(wyciągając ku Manfredowi ręce).*

Manfredzie!...

(Manfred zrywa się, bieży do Noemy — przerażony jéj wyrazem obłąkania i rozpaczy, zbliżyć się nie śmie. — Staje nieruchomy, milczący, widząc dopiéro że Noema chwieje się i opada na ręce Klotyldy, przyskakuje, i chwyta ją w swoje objęcie).

Noema *(słabym głosem).*

Powiedz — tobie — w czém ja zawiniła —
Abym tyle — przez ciebie — nieszczęśliwą by- (ła....?

(Kona powolną śmiercią, z uśmiechem na ustach, i patrząc na Manfreda, który nie spuszcza jéj z oka i nie porusza się z miejsca, choć już żyć przestała).

Opat *(do Mnichów).*

Pokój zmarłym! Uczcijcie zwłoki jak przystało.

(do Rycerzy).

Oderwijcie go od niéj. —

(Mnichy i rycerze postępują kilka kroków naprzód. — Manfred jedną ręką daje znak, aby się oddalili, drugą utrzymuje ciało Noemy).

Opat.

Wynieście to ciało.

Manfred *(gwałtownie).*

Precz od niéj! — Nie umarła — zamilkła z rozpa- (czy, —
Umrzeć nie chce, nie może — wprzódy mi prze- (baczy....

(klęka utrzymując ciągle Noemę).

Ach! przemów do mnie, przemów!....

(do mnichów).

Przemówi w téj chwili....

(Przysłuchuje się niespokojnie — po chwili potrąca głową z wyrazem zwątpienia i wypuszcza z rąk swoich ciało).

Nie żyje!...

(zrywając się w wściekłością).

Czemużeście oczy wytrzeszczyli?
Kochałem ją — ją jedną, w życiu mojém całém —
Zgubiłem ją — dobiłem — kochać nie przesta-
(łem —
Moją jest teraz — zmarłéj nie dam wydrzeć so-
(bie:
Świat nas rozłączył w życiu, nie rozłączy w gro-
(bie. —

Rycerze i mnichy skupiają się około Manfreda, usiłując go oderwać od ciała Noemy. — Manfred opiéra się z wysileniem rozpaczy; wyrywa miecz jednemu z rycerzy, który sądząc, że go przeciw niemu obróci, cofa się z przestrachem. Inni zatrzymują się w miejscu — Manfred wraca do swojéj dzikiéj powagi, i śmieje się z głosną pogardą).

Ha! ha! Miecz przeciw tobie? Mdły ziemski ro-
(baku!
Nie dostrzegłbym cię nawet w innych wrogów
(braku....
Dusza Manfreda jednéj tylko krwi spragniona,
A ta krew, jego własną....!

(Rzuca się na miecz, i pada konający).

Opat *(przyskakuje).*

Ratujcie go! Kona!

Manfred *(umierającym głosem).*

O zbliż się — najzacniejszy starcze w twym za-
(konie....
Zbliżcie się bracia.... Wznieście poświęcone dło-
(nie....
Módlcie się...!

(zrywając się z gwałtownem wysileniem).

Los w tém jedném — słuszność mi wymierza....
Byłem rycerzem.... Śmiercią umieram rycerza.

(Zasłona spada).

W scenie I. Aktu V. następuje po wyrazach: *(Cały orszak szykuje się po obu stronach kaplicy, zostawiając wolne przejście w głąb kościoła;)* według upodobania albo Hymn następny:

Hymn.

Nie nam o Panie, nie nam, ale Twemu
Imieniowi zaszczyt spraw:
Daj poznać światu i stworzeniu wszemu
Nieomylność Twoich praw.

Zbawco narodów, do Twojego krzyża,
Okupiona chrztem Twéj krwi,
Każda niedola z ufnością się zbliża,
I swą boleść składa Ci...

Do Ciebie z głębi rozhukanéj fali,
Z pola, kędy bitwa wre,
Nie będziem próżno o pomoc wołali,
Zabezpieczysz syny twe. —

Tyś nam chorągiew zwierzoną bez plamy
Z chlubą tu dozwolił wnieść:
Przy twoim świętym krzyżu ją zwijamy,
Tobie, nie nam Boże cześć!...

Lub téż Psalm ten:

PSALM.

Deus noster refugium et Virtus.

Tyś Panie siłą i ucieczką naszą:
Kto ci zaufał, tego ziemskie trwogi
Ani sprowadzą z zamierzonéj drogi
Ani ustraszą. —

Dostoi mężnie bojaźnią nietknięty,
Chociażby morze poderwało skały,
Choćby się góry wstrzęsły i zsypały
W morskie odmęty. —

Niechaj nas przemoc otoczy do koła,
Niechaj walczących wyprowadzi roje:
Pod twemi znaki wierne bractwo twoje
Liczbie podoła. —

Wszechmocne Twoje osłoni nas ramię,
Starczy za puklerz i warowne grody,
Chorągiew naszą wyniesie bez szkody,
I wrogów złamie.

JERZY JULIUSZ CLOVIO.

(Dodatek do historyi sławiańskiéj sztuki).

Jerzy Juliusz Clovio, najsławniejszy malarz miniatur XVI wieku, urodził się r. 1498 w Grizawie małéj wiosce Kroackiéj, w obwodzie Winadolskim. Na chrzcie ś. otrzymał on imię Jerzego, a imię Juliusz przybrał później wstąpiwszy do zakonu. W 18 roku życia udał się do Włoch, gdzie zaraz w piérwszych 3 latach swego pobytu zwrócił na siebie powszechną uwagę. Następnie nauczywszy się od *Giulia Pipi*, najlepszego ucznia Rafaela, mięszania farb i używania gummy i wody, niezmierny postęp uczynił i wkrótce tak się wsławił, iż na polecenie sławnego Alberta da Carpi, wezwał go na dwór swój Ludwik II król węgierski, gdzie aż do bitwy pod Mochaczem zostawał. Po téj bitwie schronił się najprzód do swéj ojczyzny, a późniéj przybył znów do Włoch, i r. 1526 był w Rzymie. Tam bawiąc na dworze Kardynała Laurenzio Campeggio, skopiował tak wybornie w miniaturze kilka arcydzieł Michała Anioła, że go jeszcze za życia Bnonarottego, małym Michałem Aniołem nazwano. — Po zdobyciu i złupieniu Rzymu w r. 1527 przez niemiecko-hiszpańsko-włoskie żołdactwo pod wodzą Karola Burbona i Filiberta z Chalons, Clovio dostał się do więzienia, w którém siedząc szlub uczynił, iż jeżeli wyjdzie zeń żywy, habit oblecze. Jakoż w kilka miesięcy uwolniony, wstąpił do klasztoru Ś. Rufina, przybrał imię *Giulio*, może ku uczczeniu pamięci nauczyciela swego *Giulio Romano*, i odtąd podpisywał się bez nazwiska, po prostu: „*Don Giulio.*“ —

W czasie pobytu swego u Ś. Rufina, w jednéj z wędrówek swoich do pobliskich klasztorów złamał przypadkiem nogę, a w chorobie tak był niedbale doglądany, a nawet prawie zupełnie opuszczony przez braci, iż zbrzydził sobie suknię zakonną. Udał się tedy do dawnego swego protektora Kardynała Grimani, który go kazał leczyć i wyrobił mu u Papieża uwolnienie od ślubów zakonnych. W ciągu pobytu u Grimaniego, między innemi pracami, ozdobił mu Giulio przepyszny rękopis Listu Ś. Pawła do Rzymian, trzema wspaniałemi obrazami. Rękopis ten, noszący tytuł: „Liber Commentariorum in epistolam Pauli ad Romanos“ jest dziś ozdobą bogatych zbiorów starożytności i sztuki architekta Soana w Londynie. Ozdobił też pięknemi obrazami rękopis poezyi Petrarki znajdujący się dziś w Medyolanie w posiadaniu rodziny Trivulzi.

Te i tym podobne prace rozgłosiły tak daleee sławę jego po Włoszech, iż Kardynał Alexander Farnese imieniem swojém i wuja swego Papieża Pawła III powołał go do Rzymu. Wtedy wykonał Clovio wiele przepysznych robót dla swego nowego protektora, dla Papieża i Kardynałów, a dzieła jego pędzla rozchodziły się jako najcenniejsze upominki po dworach piérwszych monarchów europejskich. Obok tych niezliczonych prac pojedynczych, znanych jest 12 manuskryptów większych utworami Clovia zdobnych.

Najznakomitszém atoli jego dziełem, nad którém 9 lat pracawał, a które do najszacowniejszych zabytków ówczesnéj sztuki europejskiéj liczą, jest mała książeczka do nabożeństwa poświęcona czci Najświętszéj Maryi Panny, którą Giulio jako dar wdzięczności dla swego protektora Kardynała Farnese malowidłami ozdobił. — Malowidła te są na 26 tablic podzielone, a każda składa się z dwóch obok siebie umieszczonych obrazów, otoczonych najpiękniejszemi koronkami ozdób, z kwiatów, aniołów, ptaków, zwierząt, gieniuszów, kamieni, kamei i t. p. Jeden z takich dwóch obrazów przedstawia scenę ze Starego Testamentu, a drugi odpowiednią z Nowego. — Dzieło to, które sławny Benvenuto Celini w przepyszną emaliowaną oprawę osadził, szacowane na 30,000 dukatów, znajduje się w pry-

watnéj bibliotece króla Neapolu, gdzie go tylko za szczególném pozwoleniem oglądać można, i dla tego dotąd nie jest upowszechnione rycinami. — Oprócz tego malował Clovio mnóstwo rzeczy drobiazgowych — malował na pestkach moreli i innych owoców — malował portrety i inne obrazki, które zamiast medalionów na szyi noszono.

Częstokroć figury jego ludzkie nie przechodziły wielkością mrówki, a jednak tak były mistrzowskie, iż nawet w naturalnéj wielkości niemogłyby były dokładniéj być wykonane. Dla tego téż nosi on czasami przydomek: „*Il Mirmecide*“ Mrówka.

Pracował do późnego wieku mieszkając w pałacu Kardynała Farnesego, gdzie go odwiedzali najznakomitsi owego czasu literaci i mistrze sztuki, z którymi wszędzie zostawał w przyjaźnych stosunkach, będąc sam wysoko wykształcony.

Dzieła jego za życia jeszcze swego twórcy znalazły licznych kopistów, a wiele ich w miedziorytach odbito. Rytowali je mnodzy sztycharze wszystkich niemal narodów, a ze Sławian znakomity Marcin Rola z Sebeniku.

Naówczas bawiło we Włoszech, mianowicie w Rzymie wiele Sławian, a więc i Kroatów zajmujących się naukami; ale żadnemu z nich nie przyszło na myśl podać potomności jakikolwiek szczegół o życiu sławnego swojego ziomka; i gdyby współczesny mu Vasari nie był skréślił pobieżnie jego żywota, nie wiedzielibyśmy nawet gdzie się Clovio urodził i z jakiego pochodził narodu.

Umarł Clovio w r. 1578, a w 80 roku życia — w Rzymie w Farnesejskim pałacu; — pochowany w kościele Ś. Piotra *in vincolo.* W 54 lat po jego śmierci położyli mu jego bracia w zakonie wspaniały pomnik, na którym popiersie jego z marmuru wyciosane.

Zaraza atmosfery.

O szerzeniu się i zanoszeniu zarazy cholerycznéj przez żyjątka mikroskopowe wspomniał już Ehrenberg na posiedzeniu akademiczném w Berlinie dnia 3 sierpnia 1848.

Pomysł o zarażeniu atmosfery podczas ogólnych epidemii, a mianowicie dawniéj podczas dżumy przez niedojrzane okiem żyjątka wznoszące się w powietrzu, nie zawdzięczamy wcale mikroskopom; myśl ta była w obiegu już oddawna. Starożytni, przedchrześciańscy pisarze wyprowadzali ztąd zaród chorób zaraźliwych, mieniąc ją też sztuką szatańską, Baala Zebuba (władcy much). Elacon w Egipcie i Accaron w Palestynie, dwa ludne miasta, wyświadczały cześć boską temu władcy much na przebłaganie gniewu jego i odwrócenie morowego powietrza zanoszonego przez muchy. W starożytności wynosiły się całe miasta uchodząc przed często powtarzającém się najściem much zaraźliwych; tak między innemi mieszkańce miasta Megary w Grecyi, Myus we Frygii i Atarny w Myzyi. Rizofragi wyszli dla takich much z siedzib swoich nad Astaborem w Indyach, a Sapores, król perski, musiał z podobnéj przyczyny odstąpić od oblężenia miasta Nisibu. Według Strabona kazali też i Rzymianie łowić muchy podczas dżumy w Hiszpanii i płacili za nie od każdego półkorca. Varro i Collumela przypisują muchom wpływ zjadliwy włoskiego powietrza zachodzącego od moczar.

Zwolennicy „Pokory cielesnéj.“

W państwie Tennesse w Stanach Zjednoczonych pod miastem Sommerville zasiadła gmina Baptystów tak zwanych Braci i Siostr „Pokory cielesnéj“ od tego, że się zakonem zobowiązali myć sobie wzajemnie nogi. Przykazaniem jest u nich raz do roku zgromadzać się pewnéj niedzieli w bożnicy, i w obec całéj gromady i gości zgromadzonych dopełniać uroczyście w sposób przepisany téj ceremonii nóg mycia. Odosabniają się mężczyźni i kobiéty, zasiadają obok siebie kołem, i każde z nich sadzi jednę nogę na kolano sąsiadowi. Sąsiad zdejmuje mu z nogi trzewik, zwleka pończochę, czerpie z miednicy przed sobą wodę i myje z największém skruszeniem serca nogę na kolano sobie posadzoną. Brat bratu, a siostra siostrze, i obciera ręcznikiem, czyli właściwie płachtą. I to nazywa się: Ceremonia „pokory cielesnéj.“ Na ten obrząd zjeżdża się wiele gości i bawią się tém, co widzieli i słyszeli.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*